Przyjaciel Ludu.

ROK SIODMY. **No. 20.** **Leszno,** *dnia* **14.** *Listopada* **1840.**



Zbrojownia w Rogalinie.

Zbrojownia w Rogalinie.

Wieś Rogalin, o dwie mile od Poznania, nad Wartą, w prześlicznéj okolicy położona, z pięknym pałacem i piękniejszą jeszcze kaplicą, jest zwyczajną siedzibą tak zasłużonego w wielorakim względzie dla naszego kraju męża, hr. Ed. Raczyńskiego. W pałacu, za którym rozciąga się park angielski, ozdobiony kilkusetletniemi dębami, pod któremi może sławny Krysztof Arciszewski w dziecinnych latach swoich igrał (Rogalin bowiem należał do rodziców jego), między innemi osobliwościami znajduje się wielka sala, napełniona rozmaitego rodzaju bronią starożytną, sieczną i palną, i uzbrojeniami. Co zaś w oczach Polaka cenę, jedynego tego w swoim rodzaju zbioru podwyższać powinno, jest to, iż cały składa się z broni, którą przodkowie naśi napaści najezdników dzielnie odpierali, albo też sławę imienia swego po za krańcami ojczyzny roznosili. Ujrzysz tu zbroje, dzidy i miecze z czasów pierwszych wojen krzyżackich, znalezione w rozmaitych stronach Wielkiéjpolski, i może nie jeden hełm z tego zbioru okrywał skronie Władysława Łokietka, może nie jeden miecz błyszczał w dzielnéj dłoni tego bohatyra. Wewnętrze téj przepysznéj zbrojowni przedstawia rycina niniejsza.

W tém miejscu nie od rzeczy będzie umieścić, nadesłany Redakcyi przez jednego z małéj liczby uczonych naszych w téj prowincyi mężów, rozbiór dzieł historycznych, któremi czcigodny właściciel zbrojowni w Rogalinie, od lat tylu literaturę naszę zbogaca, zapewniając sobie tym sposobem wdzięczność najodleglejszych pokoleń.

O wydaniach dzieł historycznych przez Edwarda hr. Raczyńskiego.

Od roku 1824. obdarza nas hr. E. Raczyński ciągiem wydań, historyą kraju bogacących. Za jego staraniem już wiele rękopismów, któreby leżały w zapomnieniu, i jak tyle innych zbutwiałyby i zaginęły; podane do druku i rozpowszechnione, uniknęły niepowrotnéj zagłady, zachowane zostały dla współczesnych i potomnych, i wielkim się stają zasiłkiem dla tych, co odtąd poszukiwaniom historycznym poświęcać się będą. Dla takich zatem, dla których dzieje kraju są głównem zajęciem, nie potrzebne jest podobnych wydań zalecenie, bo już z własnego popędu śledzić je wszędzie będą, i z wynalezionych skwapliwie korzystać. Ale jest daleko liczniejsza klassa czytelników, która nie może tyle czasu kronikarstwu poświęcać. Ta wiedziona duchem prawdziwego obywatelstwa, kochająca co ojczyste, co polskie, kupuje w prawdzie takowe dzieła, a zrażona niekiedy mniéj ciekawymi, mniéj zajmującymi szczegółami, nie doczytuje ksiąg, w którychby jednak nie jedna jeszcze okoliczność, nie jeden szczegół zajął jéj umysł i imaginacyą. Dla takich postanowiliśmy wytknąć po krótce przedmioty, które w tym zbiorze powszechniéj interessować mogą, a przy nierównéj tych dzieł wartości, już dość długim ich szeregu, zdaje się nam, że taki wykaz użytecznym stać się może dla wielkiéj części polskiéj publiczności. Nie będziemy się trzymali porządku, w jakim te wydania na jaw wychodziły, ale raczéj historycznéj kolei przedmiotów.

I. Pamiętniki o królu Stefanie Batorym (w Warszawie 1830.).

Jest to małéj objętości książka, obejmująca kilka udzielnych pamiętników o tym monarsze. Znajduje się tam opis ostatnich chwil Stefana, przez naocznego świadka; a między listami jeden dość ciekawy, tłómaczony z oryginału łacińskiego, w którym zagadniony od króla polskiego lekarz Buccela, jaki jest najskuteczniejszy sposób uchronienia się od otrucia (znać zatem, że się Stefan podobnych zasadzek obawiał), odpowiada mu: że są wielorakie sposoby otrucia; że nie tylko przez wnętrzne pożywanie, ale nawet przez powonienie i dotknięcie, jad śmiertelny wprowadzić się może w ciało ludzkie; i na te wszystkie przypadki oświadcza Buccela: że przygotował dla króla Antidotum, podług wszystkich reguł fizycznych, astrologicznych i kabalistycznych przyprawiony. Ten list jest żywym obrazem owego wieku, to jest drugiéj połowy 16go stulecia.

II. Poselstwo od króla Zygmunta III. do cara Dymitra Iwanowicza (w Wrocławiu 1837.).

Książeczka w małym formacie. Jest to dziennik jednego z Polaków, którzy towarzyszyli carowéj Maryi Muiszchównie, w podróży jéj z Krakowa do Moskwy. Pisany jest oryginalnie po polsku, i choć ten przedmiot dostatecznie jest oddany w dziele Niemcewicza: o panowaniu Zygmunta Wazy, ma to pismo interes przywiązany do bezpośredniego opowiadania świadka naocznego. Nie zaczyna się jednak ten dziennik od Krakowa, ale dopiero od okolic Orszy i Dąbrowy na Białéj Rusi, dokąd przybyła Maryna 18. Kwietnia 1606. r., i zkąd już w moskiewski kraj wjeżdżała. Ciągnie się daléj ten dziennik przez całą drogę do miasta Moskwy, i przez cały pobyt w niéj poselstwa polskiego, aż do śmierci cara Dymitra, i wyniesienia na tron Wasila Szujskiego, w pierwszych dniach Czerwca r. 1606.

III. Dwie podróże Jakóba Sobieskiego, ojca króla Jana, w Poznaniu 1833. (Wielce ciekawy zabytek z siedmnastego wieku.)

Szanowny z czynów i nauki Jakób Sobieski, którego przez długi czas łacińskie tylko dzieło o wojnie chocimskiéj było znajome, zostawił też nam w ojczystym języku wspomnienia swoje dwóch podróży, które po różnych krajach

europejskich odbywał. Pierwszą, daleko dłuższą, odbył jeszcze za panowania Zygmunta Wazy od roku 1607. do 1613. Zwiedził wtenczas Niemcy środkowe, Francyą, Anglią, Hollandyą, Niderlandy, potém znowu Francyą, Hiszpanią, zkąd się do Włoch udał, a nakoniec przez Austryą do Polski powrócił. Więcéj zajmującym jest Sobieski, gdy opowiada o tém, co się z nim dzieje, lub co widzi i co słyszy, a niżeli gdy nam suchy opis miast i krajów wystawia, albo (co dziś nas jeszcze mniéj obchodzi) kiedy nam szczegółowo urzędy dworskie po różnych stolicach wylicza. Ale wyraźne piętno sposobu myślenia wieku ówczesnego na sobie nosi, odwiedzając wszystkie cudowne miejsca, które za tém u niego w najpierwszym były względzie; najwięcéj go obchodzą obrzędy i etykiety dworskie. Nie mniéj wiele ciekawych jest miejsc w tych opisach. Uderzającem jest dla czytelnika zdanie jego o panowaniu króla Henryka IV. w Francyi, i o administracyi ministra jego, księcia Sully, których obu jako przebiegłych mataczów i uciskających lud podatkami wystawia, i które zdanie u wielu ówczesnych Francuzów zaczerpnąć musiał. Ciekawą jest jego audyencya u króla Henryka, który się u niego, i u towarzyszącego mu Radziwiłła, o szczegółach guzowskiéj bitwy dowiaduje, w któréj Sobieski pod królem, a Radziwiłł pod Zebrzydowskim walczyli. Za drugiéj autora bytności w Paryżu przytomny jest zabójstwu króla francuzkiego, i przekonywa się o przywiązaniu Paryżan do Henryka. Nakoniec świadkiem jest okropnego stracenia Rawaillaka, i uroczystemu pogrzebowi króla. W Anglii odwiedza Sobieski dwór Jakóba I., a w Hiszpanii Filipa III. Z włoskich miast najwięcéj go z religijnych względów Rzym pociąga, gdzie siedział na stolicy świętéj Paweł IV., Papież. Słowem, większa część téj podróży dla ogółu nawet czytelników interes mieć może.

Druga podróż Jakóba Sobieskiego jest roku 1638. za panowania Władysława Wazy, gdy towarzyszył królowi do wód badeńskich pod Wiedniem. Było to podczas toczącéj się w Niemczech wojny trzydziestoletniéj, gdy cesarz Ferdynand III. dla skuteczniejszego przewodniczenia obrotom wojskowym, w Pradze czeskiéj przemieszkiwał. Król Władysław miał w towarzystwie swojém królowę Cecylią Austryaczkę, królownę Annę, siostrę swoję, tudzież wielu senatorów i dam z znakomitych rodzin polskich; a mimo najusilniejszéj chęci umniejszenia taborów, składał się dwór podróżny z 1300 osób, i tyleż koni, tak powoznych jak wierzchowych. Opisuje Sobieski wjazd króla od okolic Częstochowy do Szląska, daléj podróż przez Głogówko, Nissę, Ołomuniec, Brün, Nikelsburg, do Wiednia; wszędzie spotykany przez urzędników cesarskich, a nakoniec przez arcyksięcia Leopolda. W zamku wiedeńskim przyjęci są, król i królowa, przez cesarzowę Maryą, i ciekawe tu znajdziesz opisy różnych bankietów, widowisk i łowów dla dostojnych gości wyprawianych. Wspomina między innemi Sobieski, o przedstawieniu się królowi polskiemu, wdowy i córki sławnego Wallensteina. Przy powrocie zaś króla do Polski, opisuje autor zjechanie się Władysława Wazy i cesarza Ferdynanda w Nikelsburgu. To choć uprzejme i przyjazne, wielce jednak utrudniane było przez wielorakie względy na formy etykietalne, które obydwa wzajemnie Monarchowie zachować byli przymuszeni, i w których trudnościach często się odwoływano do obrządków, przy dawniejszém widzeniu się Maxymiliana cesarza z królem Zygmuntem Jagiellończykiem zachowanych. W ogóle opis téj drugiéj podróży Sobieskiego jest równie, jak pierwszéj, zajmujący; szkoda tylko, że we dwóch miejscach, i dość ważnych, po kilka kart w rękopiśmie nie dostaje.

W wydaniu tego pisma Jakóba Sobieskiego, przełożone są, zwykłe mu makaronizmy łacińskie na polskie wyrażenia; co dla oswojonych z łaciną ujmuje nieco kolorytu ówczasowego, ale dla liczniejszéj klassy czytelników przystępniejszém czyni to dzieło. Dodany jest do tych dwóch podróży testament Sobieskiego, który wyjeżdżając na wojnę turecką, roku 1634., żonie swojéj, Teofili z Danielewiczów, polecił; a w którym się dobrze cały jego charakter maluje.

Życzyćby wypadało, aby i inne pisma Jakóba Sobieskiego zebrane i przedrukowane zostały. Takiemi są w polskim języku:

Najprzód: Negocyacye między posłami polskimi, francuzkimi i angielskimi, w Sztumsdorfie, w Prusiech, roku 1635., do których Jakób Sobieski osobiście należał, i których rekopism w bibliotece Potockich w Willanowie istnieje.

Powtóre: Dwie instrukcye dla synów swoich Marka i Jana, jedna na rękę pana Orchowskiego, gdy ich roku 1640. do Krakowa na nauki wysełał; druga samym już synom oddana, gdy ich roku 1645. do Paryża wyprawiał. Pierwsza raz tylko była drukowaną za Stanisława Augusta,1) druga, mniéj znana, raz się tylko w dzienniku *Mrówka poznańska* okazała. Obie są ciekawe i zajmujące we względzie indywidualności i wyobrażeń czasowych, najbardziéj jednak późniejsza, o pobycie w Paryżu traktująca. Widać w niéj troskliwego ojca, znającego doskonale miejscowość, i co w niéj korzystném, lub szkodliwém być mogło dla młodzieży.

Łacińskie nakoniec dzieło Jakóba Sobieskiego, *o wojnie chocimskiéj*, warteby było przekładu na język ojczysty. (2)

(Dalszy ciąg nastąpi.)

(1) Wyjątki z niéj ob. w P. L. r. IV., T. I., No. 15 i nast.

(1) Redakcya Przyjaciela ludu widziała kilka odpisów przekładu wojny chocimskiéj Jakóba Sobieskiego, w rękopismach z siedmnastego wieku; rzecz więc jest już gotowa, i tylko druku czeka.

Posąg Guttenberga w Strasburgu.

Wiele już pisano i mówiono o posągu Guttenberga, wystawionym mężowi temu w roku bieżącym w Strasburgu. — Obrzędy, towarzyszące odkryciu statuy, wykonanéj przez Dawida d'Angers, tak były wspaniałe, iż przeszły wszelkie oczekiwania w téj mierze. — Podaliśmy Czytelnikom w piśmie naszém, rok IV., T. I., Nr. 20., wizerunek pomnika, przez Torwaldsena w rodzinném mieście Guttenberga wzniesionego. Interessowne jest porównanie obudwóch tych pomników. Dzieło duńskiego kunsztmistrza przesiąkło, że tak powiem, zbytnie znajomością postaw spokojnych starego świata i dobrodusznością znamionującą Germanów. Głowa Guttenberga nie ma nic zachwycającego: ciało bez życia, powaga nieco flegmatyczna, symetrya w całém dziele przesadzona. Biblia, którą Guttenberg Torwaldsena do serca niejako przyciska, ma wskazywać na związek istniejący pomiędzy wynalazkiem sztuki drukarskiéj a reformacyą, któréj pierwsza tak dzielną była pomocą; lecz zdaje się zarazem wyłączać wszelki ruch wolniejszy i śmielszy prass drukarskich.

Posąg Dawida ma coś w sobie mistycznego: noga posunięta naprzód, postawa ciała śmiała, dzielna dusza, pragnąca z nieznanemi dotąd tajemnicami świat obeznać i popchnąć go niejako naprzód, maluje się w całéj jego postaci, a fantastyczne głowy okrycie powiększa jeszcze ten urok. Oto stary badacz nowości, poświęcający całe swe życie rozwiązaniu wielkiéj zagadki, jaką sobie zadał, i urzeczywiszczeniu myśli, w piersiach swych powstałéj. Konwulsyjne poruszenie członków jego, z jakiém pierwszą kartę druku swego z słowami: „*Stało się światło!*“ światu podaje, okazuje dostatecznie ważność jego wynalazku, szlachetność uczuć i odwagę. Z tém wszystkiém nie znajdują wcale znawcy w posągu tym wyrazu tego mocnego geniuszu, który z wrodzoną sobie siłą, bez natężenia, tak ważny zrobił wynalazek.

Uroczystości przy poświęceniu pomnika Guttenberga w Strasburgu trwały przez trzy dni. Dnia 24. Czerwca, od rana samego, całe miasto było w ruchu wielkim: na domach powiewały zatknięte chorągwie trójkolorowe; ulice wszystkie, przez które orszak postępował do posągu, wieńcami z kwiatów były ozdobione. Po odbytém nabożeństwie ranném po wszystkich miasta świątyniach, ogłosiły dzwony liczne początek uroczystości. Wszystkie władze, kupcy, księgarze i drukarze, zebrali się w sali ratusznéj i na obszerném dziedzińcu, zkąd cały orszak ruszył w najpiękniejszym porządku do statuy Guttenberga. Wszyscy drukarze szli za oddziałami wojska regularnego i gwardyi narodowéj, za licznemi cechami, z chorągwią darowaną im wraz z herbami w r. 1450. przez cesarza Fryderyka; obok téj niesiono drugą z herbem Guttenberga. Deputacye wszystkich miast francuzkich, towarzystw uczonych i instytutów, pomiędzy którémi najznakomitsi mężowie się znajdowali, szły w środku prowadzone przez członków komitetu trudniącego się urządzeniem całéj téj uroczystości. Massy ludu niezliczone tworzyły dwa szpalery od ratusza do miejsca właściwego obrzędu. Gdy się zbliżono do posągu, ten zakrywała przed oczami ciekawemi przytomnych zasłona biała z czerwoném. W bliskości posągu stała prassa drukarska, przy któréj wyznaczeni drukarze stanęli, i w kilku chwilach hymn na cześć Guttenberga, przez znakomitego wieszcza na uroczystość tę napisany, ułożyli i wydrukowali. Wiceprezydent komitetu, pan Lichtenberg, wstąpił na mównicę, oddając hołd mistrzowi, co dziełem swojém w wiekopomne lata przekazał pamięć męża, którego wynalazkowi tyle świat zawdzięcza. Skoro tylko imię Dawida wymówił, spadła zasłona, okrywająca dotąd statuę, a radośne okrzyki tłumu pomięszały się z odgłosem dzwonów i hukiem dział.

Cztery płaskorzeźby na podstawie posągu, przypominają dobrodziejstwa, jakie zawdzięczają cztery części ziemi wynalazkowi Guttenberga.

1. Europa. W środku płaskorzeźby widzisz Kartezyusza zamyślonego, z opartą na ręce głową. Nad nim Bacon i Boerhave, — po obu ich stronach: Szekspir, Kornel, Molier, Racine. Cokolwiek niżéj: Voltaire, Bufon, Albrecht Dürer, Le Poussin, Calderon, Puget; nad nim: Tasso i Cervantes. Nad Dürerem: Milton i Cimarosa. Po prawéj stronie: Luter, Leibnitz, Kant, Kopernik, Göthe, Szyller, Hegel, J. Paweł Richter i Klopstock. Obok prassy: Erasm, Rousseau i Lessing — dwóch ostatnich wierzch głów tylko widać. U dołu: Volta, Galilei, Papin; nieco niżéj: Rafael. Daléj grupa dzieci, uczących się, a pomiędzy niemi młody Murzyn i Azyat.

2. Azya. Blisko prassy stoją: Wilhelm Jones i Anquetil Duperron, podając Braminom książki drukowane, a biorąc w zamian ich rękopisma. Po lewéj stronie, tuż przy Wilhelmie Jones, stoi Mahomet II., w europejskim ubiorze, zajęty czytaniem Monitora: turban turecki leży u nóg jego. Obok niego Turek, czytający książkę. Cokolwiek niżéj cesarz chiński z dziełami Konfucyusza w ręku: przy nim stoi Chińczyk z Persem. Daléj Europejczyk, uczący małe dzieci; obok kilku kobiet, oddających cześć bałwanom swoim.

3. Afryka. Z lewéj strony przyciska Wilberforce młodego Murzyna, trzymającego w ręku książkę, do serca swego: za nim kilku Europejczyków, rozdających książki Afrykanom. Młodzież europejska zajęta uczeniem dzieci afrykańskich. Z prawéj strony widzisz Clarksona, zdejmującego Murzynom kajdany i kruszącego je. Druga część płaskorzeźby wystawia H. Gregoire wśród Murzynów: grupa kobiet wznosi na jego widok dziatki swoje ku niebu, widząc na



Posąg Guttenberga w Strasburgu.

ziemi pokruszone leżące kajdany i połamane kije, na których widok niedawno drzały.

4. Ameryka. Z lewéj strony Franklin, wyjmujący z prassy drukarskiéj akt oswobodzenia Ameryki. Obok niego Wassyngton, Lafayette, przyciskający do serca szpadę, odebraną w darze od przybranéj sobie ojczyzny. Przy nim Jefferson, w towarzystwie mężów tych, co podpisali akt emancypacyi. Z prawéj strony stoi Boliwar, trzymając za rękę dzikiego Indyanina, wzywa-

jąc go, aby zabrał miejsce pomiędzy ludźmi, jako braćmi swymi.

Po odsłonieniu posągu, zabrał głos burmistrz strasburgski, pan Schluttemberg, rozwodząc się nad znaczeniem słów wyrytych na karcie trzymanéj przez statuę Guttenberga: *„I stało się światło.“* Poczém drukarz, pan Silbermann, w krótkich, lecz pełnych nauki słowach, skreślił najważniejsze zdarzenia z życia Guttenberga. Wśród tych mów odśpiewali przytomni dwa hymny, stósowne do okoliczności, na znane melodye ułożone, a wydrukowane przed odkryciem posągu. Wszyscy pragnęli uczcić mistrza posągu, lecz skromny Dawid nieznajdował się na téj uroczystości; drugiego dnia dopiero zrobiono to przy pięknéj muzyce.

Dwa dni następujące, t. j. 25. i 26. Czerwca, poświęcone były zabawom publicznym, ściągającym się zawsze i stósownie połączonym z główną uroczystością. Sto tysięcy zgromadzonego ludu ożywiał jeden duch: najmniejsze zamięszanie nieprzerwało niewinnych zabaw. *A. Ż.*

Zimowa noc.

Wspomnienie z Halczyńca.

(Gawęda przez Michała Czajkowskiego.)

(Ciąg dalszy.)

My w pokoju, gdzie przyniesiono wilka i lisy i zające, opowiadaliśmy kobietom myśliwskie czyny, a jeden od drugiego wydziwiał dziwniejsze rzeczy. Ignacy usłużył do herbaty, lewą ręką wziął się w boki, na nasze gadanie głową kręcił, i pomrukiwał tak, że wszyscy słyszeli.

„Już ci to, to nie prawda.“

Ignacy był to stary sługa mego ojca, mnie niańczył dziecięciem, jeździł ze mną do szkół, jemu wszystko było wolno robić i gadać, co mu się podobało.

Zaledwie zaczęliśmy pić herbatę, aż tu przyjechał gość po raz pierwszy widziany w Halczyńcu; był to pan sędzia Duniński, już sześciodziesięcioletni mąż, z synem, mającym dwadzieścia kilka lat. Zawieją zagnany do wioski, szukał gościnności, wnet ugościliśmy go herbatą i myśliwskiém opowiadaniem.

Pan Sędzia niebył myśliwym, ale chorował na lubowanie sztuk pięknych, i syna do tego układał — w pokoju było kilka obrazów; po herbacie Sędzia zacząwszy o malarstwie, kazał synowi czytać podpisy obrazów, ponieważ sam przy świecy niedowidział.

Syn wychowany w Romanowie u księży Jezuitów, zupełnie był wykształconym na kopyto téj młodzieży, co to w trzydziestym roku życia na rozesłanym dywanie brała boćkowskie napomnienie, którym to na wyprawę z rodzicielskiego domu dawano: kopę bizunów i dukata do ręki, wstał i poszedł spełniać rozkaz, jak student do tablicy.

Pod jednym było napisano: *Pretresse d' Apollon;* przeczytał — stary zażył tabaki.

„Panny Teressy apolog, to jest portret panny Teressy Morgulcówny. Znam, i bardzo śliczna panna. Oczy podobniuteńkie, tylko twarz trochę pełniejsza; prawda, że niedawno co powróciła z Drezna, a nasze Polki wszystkie za granicami chudną; widno, niemiecki klimat im niesłuży.

Drugi obraz wystawiał ślepego Belizara, trzymającego Justyniana małego na ręku. Syn przeczytał: *Belizair.*

Ojciec roztworzył oczy.

„Pan Olizar, pan podczaszy litewski; znam, ale któregoż to trzyma na ręku, czy pana Narcyza, czy pana Gustawa? przy świecy nie dowidzę dobrze, poznać nie mogę; ale pan podczaszy to także zawsze się trzymał, trochę zgarbiony.“

Wtém dano do wieczerzy, i zakończył się przegląd obrazów: przy stole pan Sędzia, który był jowialistą, strasznie gromił spieszczanie kobiecych imion: Maryanny na Marysię, a Mawilli na Mawilka; powiadając: „Jakby to było dobrze okrzykiwać przed światem, że jedna *ma rysia*, a druga *ma wilka*, i takiemi dzikiemi zwierzętami odstraszać od panien.“

Jowializm wcale nie przeszkadzał panu Sędziemu dobrze jeść i lepiéj jeszcze pić. Widno, że oprócz malarstwa był lubownikiem dobrego jadła i starych trunków.

Po wieczerzy pan Sędzia usiadł przy kominku, a że rozmowa toczyła się o nowych wynalazkach i o polityce, Sędzia szczęśliwie sobie usnął, a synaczek, który przez cały czas, oprócz czytania obrazowych podpisów, ani ust otworzył, przemówił nagle jak jerozolimski rumak.

„„Tatko teraz wygląda, jak bekas w oczerecie!““

I zamilkł, i myśmy wszyscy czas jakiś milczeli. —

Wtém, ni ztąd, ni z owąd, zjawił się ksiądz Jacek Bernardyn, kwestarz z Cudnowa. Ksiądz Jacek był nieoszacowany człowiek, mnich doskonały, świątobliwy, bogobojny; w cudze sprawy nigdy się nie mięszał, a swoich pilnował. Umiał stroić fortepiany, bo nim postąpił na kwestarza, był organistą, posiadał tajemnicę wygubienia pcheł i pluskiew, namoczenia różnych wódek, smażenia konfitur nawet, i tak daléj. Kobietom koszyki i kwiaty, dzieciom piernikowe koguty albo koniki ze złoconemi główkami, przywoził w gościńcu. Kiedy chimerowały, to straszył habitowemi ogórkami, a nigdy nieuderzył; a tak umiał z wojakiem wojować, z myśliwym polować, a z próżniakami grać w maryasza i butelczynę suszyć, — że zawsze z każdéj kwesty, baranów, skopów, jałowek, ślepych koni, wieprzów, miodu, słoniny, wódki i zboża hukiem nagromadził dla klasztoru; — przytém niezapomniał i o karbowańcach na cukier, kawę i ko-

rzenie do kuchennéj przyprawy. Księdza Jacka wszędzie lubiono, i wszędzie z pożądaniem wyglądano.

Drzwi się otworzyły:

„Laudetur Jesus Christus!“

Myśmy powiedzieli:

„In saecula saeculorum!“

On dodał: „Amen!“

I przeżegnał nas wszystkich.

Moja najstarsza siostra się odezwała:

„Dobrze, że przyjechał ksiądz Jacek, bo Michałowe Doloty to tak pcheł naniesły do przedpokoju, że niewiem, jak wygubić.“

„Zaraz, zaraz moja pani, my tu na to poradziemy, poślemy do Sozańskiego po tłustość jeżową.“ Ksiądz wiedział o imionach i nazwiskach wszystkich sług, a szczególnie szafarza i gumiennego; zabierał się do opowiadania całéj tajemnicy gubienia pcheł, kiedy druga siostra moja przerwała:

„Mój fortepian tak rozstrojony; chwała Bogu, że ksiądz Jacek przyjechał.“

„Jutro wystroję, tak, jak gdyby sam pan Czemiga stroił.“

Najmłodsza moja siostra także witała księdza Jacka:

„Księże Jacku, proszę mnie nauczyć, jak smażyć żurochwiny.“

„Natychmiast to zrobiemy, tylko niech pani każe pannie Annie uklarować syrop, i dać trochę spirytusu na spalenie nad żurochwinami, żeby zachowały kolor.

Jan Dłuski z Tapczewskim zapraszali księdza Jacka do maryasza. Omieciński chciał, żeby ksiądz Jacek opowiadał o marszałku Szuszkiewiczu z Biczowy, o którym ksiądz Jacek wiedział tysiąc a tysiąc przedziwnych rzeczy.

Chciałem wybawić księdza z obrotów i powiedziałem:

„Pozwólcie księdzu Jackowi, niech trochę wypocznie.“

Lepiéj się znalazł odemnie stary Ignacy; on wiedział, że ksiądz Jacek miał i brzuch i gardło, a lubił księdza Jacka, otworzył drzwi, i przemówił:

„„Do stołu dano dla księdza Jacka!““

Bernardyn wstał.

„Deo gratias, dziękuję panu Ignacemu za pamięć: jak trochę podjem, to wszystko zrobię, co państwo dobrodziejstwo chcecie.“

Ignacy, chociaż nielubił dużo gadać; do księdza Jacka przemawiał:

„„Niech ksiądz bierze jeszcze, to dobre, a wieczerza krótka, będzie ksiądz Jacek głodny.— Niech ksiądz pije wino, to stare, na zimno dobre.““ Wielka to była łaska pana Ignacego.

Przez ten czas pan Sędzia się przebudził, tabaki zażył. Synaczek ani słowa niepisnął. — Ksiądz Jacek podjadł i podpił, i na prośbę Jana Omiecińskiego opowiadał nam o Szuszkiewiczu.

1.

„Pan Marszałek to bardzo zacny człowiek; Boże mu daj zdrowie i wszystko pomyślne; opowiem państwu dobrodziejstwu, co się ze mną stało:

Przyjechałem do Biczowy, właśnie w czasie kosowicy — Bóg zapłać dobrodziejom naszego zakonu, — kwesta dobrze się udała, uzbierało się dosyć wiktuałów, bydełka, i kaletka była nieprózna. Pan Marszałek mnie przyjął po swojemu, po staropolsku; po dobréj wieczerzy, zagraliśmy trochę w maryasza, potém gadu, gadu: jeszcze jakiś czas potałakaliśmy, nareszcie poszliśmy spać. Ja jeszcze długo odmawiałem pacierze, w końcu położyłem się do łóżka. Tylko com chrapnął pierwszym snem, aż tu słyszę okropny wrzask i krzyk. — Zrywam się; okna, drzwi wyłamują, i jacyś ludzie wpadają do domu; żegnam się krzyżem świętym, przecieram oczy, ale nieśpię, aż ci ludzie mnie porwali; — bronię się, daremna rzecz, tak mnie wzięli w łapy, że o mało mi kości nie potrzaskały, zanieśli mnie do jadalnéj sali, a tam co widzę! —

Pan Marszałek, związany jak baran, nagi, a ci ludzie batogami go biją a krzyczą: „dawaj pieniędzy — pokaż, gdzie pieniądze!“ — Na swoje oczy widzę, jak nogi rządcy pana Marszałka maczają w smażonym oleju. Szafarzowi gwoździe w uda zabijają. Koniuszego za palce od rąk wieszają u sufitu. Klucznicę w pięty smalą czerwonym żarem. Stawniczego zabierają się jak konia zgrzebłować, a reszta służby powiązana. Dreszcz mi po za skórę przeszła; myślę sobie, to piekło i djabli; — a ja tylko byłem w jednéj koszuli i szarawarkach płóciennych, ze szkaplerzem i rożańcem, jakoś mnie nie wiązali, tylko postawili koło otwartego okna.

Jak zaczęli zgrzebłować stawniczego, tak ten krzyknął: Ot tam pod podłogą w pańskim pokoju są pieniądze. — Zbójcy wszyscy tam się rzucili, a pan Marszałek do mnie:

„Księże uciekaj i nam przynoś ratunek!“

Ja nie wiele myśląc, przez okno, nogi za pas i daléj. — Zbójcy się obejrzeli, za mną w pogoń, uciekam, ale widzę, że źle, skręciłem w sianożęć, i jak zając przypadłem pod kempinę; — słyszę, jak chodzą koło mnie i szukają; zimno mi było i gorąco od strachu, ale ani mrumru przypadłem kamieniem, i jak kamień milczałem. I dzień biały zeszedł, a ja jeszcze oczów bałem się otworzyć, aż tu słyszę ludzkie gwary i wyraźne brzęczenie kos: czach, czach! Niewiem, zkąd mi przyszło do głowy, że zbójcy użyli tego sposobu na wynalezienie mnie, pełzam osaką, jakbym do kaczek się podkradał, jak wąż, a kosarze tuż tuż, wszystko: czach, czach! — na nieszczęście koniec sianożęci i droga. Niema rady, zrywam się i daléj na drogę — kosarze w umyk i za mną z kosami, ja ani oglądałem się, a uciekam. I tak wpadłem do Mszańca, prosto do dworu.

Pan marszałek Borowicki mnie poznał, pytał się:

„Księże Jacku, co ci jest takiego?“

Ja mówić nie mogłem, małom nie umarł, i po dobréj godzinie dopiero opowiadałem całą rzecz. Pan Borowicki kazał zaprządz konie, zabrał z sobą Kozaków dworskich i ludzi wśi, i tak ruszyliśmy do Biczowy. Przyjeżdżamy tam, pan marszałek Szuszkiewicz przeciw nam wychodzi, wita nas, jakby nic niebyło, — ja go witam, jakby z tamtego świata — on patrzy na mnie i dziwi się.

„Księże Jacku, cóż ci jest takiego, jakżeś się przybrał?“

„„Byłem ubrany w kubraku pana Borowickiego, podpasany pasem—““

Obrócił się do Borowickiego.

„Cóż to sąsiedzie, czy zajazd na mnie zamyśliłeś zrobić?“

Pan Borowicki opowiada, Szuszkiewicz rusza ramionami.

„Ksiądz Jacek albo lunatyk, albo zwaryował.“

Ja mu gadam, przypominam, — on na całą odpowiedź oprowadza mnie wszędzie; — wszystko na swojém miejscu, nawet mój habit i kaleta, i łóżko ani tknięte. — Rządca, klucznica, szafarz, stawniczy, cała służba, wszyscy się wypierają i powiadają, że nic a nic niebyło. — Myślę sobie: to skaranie Boże, jakaś choroba na mnie napadła. Modlę się, przypominam sobie, dobrze pamiętam, nogi mnie bolą, pełno pęcherzów na podeszwach od bosego biegania, — co to znaczy? Pan Szuszkiewicz powiada wszystko:

„A dajmy pokój temu, księże Jacku, przyśniło ci się, i wierzysz, że to tak było; uciekłeś, bo u stracha wielkie oczy, cóż dziwnego?“

Obydwa śmieli się ze mnie, i ludzie się śmieli, a ja o mało co nie zwaryowałem, w końcu uwierzyłem, że mnie się przyśniło, i uciekłem.

Dopiero potém przyznał się pan Szuszkiewicz, że to były psoty, ot tak sobie dla śmiechu. — Jego właśni ludzie byli rozbójnicy, owe batogi to były ze słomy, i gorący oléj, i żar, i ćwiki i zgrzebłowanie, wszystko to były psoty, a ja tego nieujrzałem; — prawda, że u stracha wielkie oczy.“

Skończył ksiądz Jacek, a myśmy prośili, żeby nam jeszcze co o Szuszkiewiczu powiedział. — A ksiądz Jacek dał się uprośić i mówił:

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Próby oświecenia gazowego.

Jestto najnowszy wynalazek naszego wieku, do wysokiego stopnia udoskonalenia, tak pod względem jasności płomienia, jako téż i łatwości zaprowadzenia go, posunięty. Widzimy ztąd, że jeden szczęśliwy pomysł może stać się zarodem najdobroczynniejszych skutków.

Kto kiedy widział w czystym kwasorodzie palące się jakie ciało (zwyczajnie w experymentach fizycznych pali się sprężyna stalowa w butelce napełnionéj kwasorodem), ten nie może wstrzymać się od życzenia, aby ten świetny, słoneczny płomień, do zwyczajnego oświecenia mógł być użyty. Ale kwasoród, jakkolwiek wielka jego ilość w powietrzu się znajduje, kosztownym byłby gazem, albowiem nie tak łatwo go od atmosferycznego powietrza odłączyć można. O tę trudność rozbiły się już w praktyce tysiączne usiłowania wydobycia jasnego światła. Do nich należy projekt francuzkiego chemika Gaudin, aby cały Paryż oświecić za pomocą jednéj, na wysokiéj wieży zawieszonéj lampy: światło do tego potrzebne, miało się składać z wodorodnego i kwasorodnego gazu; wypuszczając bowiem dwoma osobnemi rurkami kwasorodny (oxygen) i wodorodny (hydrogen) gaz razem, na walec z niegaszonego wapna, ostatni rozpala się do białości, i rzuca nadzwyczajnie silne, białe, na milę widne światło, od wynalazcy Anglika **Drummonda**, drummondzkiem nazwane. Ale kwasoród, jak się powiedziało, jest kosztowny, a walec wapienny nie długo się topi.

Inne, także przez Gaudina proponowane światło, przez niego *sideralne* nazwane, powstaje, gdy puszczamy promień zapalonego kwasorodnego gazu na palący się oléj terpentynowy. Manipulacya ta, przez Struwego w Dreźnie udoskonalona, w praktyce jednak dotąd zaprowadzić się nie dała.

Podobny gaz innego francuzkiego chemika Sellique, przezwany także *gaz à l' eau* powstaje, gdy wapory wodniste puszczamy na rozpalone żelazo; przyczém się jeden pierwiastek wody, to jest kwasorod z żelazem łączy, drugi zaś ulotniony i palny, to jest wodoród, wzmocniony gazem węglanym, sprawuje światło.

Ponieważ atmosferyczne powietrze mieści wielką ilość kwasorodu, będącego najśilniejszym materyałem światła; zaczęto przeto w Anglii nad tém myślić, czyliby gaz kwasorodny do otrzymania trudny, nie dał się zastąpić zgęszczonym promieniem powietrza; na téj zasadzie zaczęto niedawno w Londynie robić tak nazwane *powietrzo-gazowe lampy.*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: *J. Łukaszewicz.*)